



WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci

Z DODATKIEM POWIEŚCIOWYM.

J. E. ks. Jerzy hr. Szembek.

Niespodziewanie w sile wieku zmarł pod Krakowem jeden z najwyższych dostojników kościelnych polskich, arcybiskup metropolita mohylowski, ks. Jerzy hr. Szembek.

J. E. arcybiskup był właśnie w drodze do Rzymu, gdy skutkiem przeziębenia w czasie odbywanej przedtem wizytacji w gub. Mińskiej zapadł na tyfus, zniewalający do zatrzymania się w majątku Poręba Żegota u krewnych. Wbrew nadziejom lekarzy choroba skończyła się bolesną dla całego ogółu naszego śmiercią.

Ś. p. ks. Jerzy hr. Szembek po skończeniu nauk średnich w gimnazyum św. Anny w Krakowie, nie od razu poświęcił się stanowi duchownemu.

Przez jakiś czas studyował filozofię na uniwersytecie Jagiellońskim, później wiele podróżował, poczem objął zarząd dóbr, otrzymanych w spadku na Podolu, i dopiero w 40-ym roku życia poczuł powołanie do stanu duchownego. Po skończeniu seminaryum w Saratowie w roku 1892-ym został wyświęcony na księdza

i powołany jednocześnie na profesora tegoż seminaryum. Gorliwość i zalety umysłu, jakeimi odznaczał się zmarły, zwróciły nań uwagę Stolicy Apostolskiej i niebawem ks. Szembek powołany został na tron biskupi w Płocku w roku 1901-ym, a w listopadzie 1903-go roku konsystorz papieski mianował go arcybiskupem metropolitą mohylowskim.

Na tem wysokim stanowisku rozwinął owocną działalność dla dobra Kościoła i wiernych.

Nieubłagana śmierć d. 7-go sierpnia przecięła pasmo dni ks. Szembeka w chwili, gdy taki światły i energiczny kierownik archidiecezyi jak zmarły dostojnik Kościoła, był niezmiernie potrzebny. Tem większa szkoda.

Zwłoki ks. arcybiskupa Szembeka pochowano w grobach rodzinnych w Galicyi. Pogrzeb odbył się niezmiernie uroczysto: eksportował książę biskup krakowski, kardynał Puzyna, asystował ks. arcybiskup



Ś. p. J. E. ks. Jerzy hr. Szembek.

Szeptycki. Podniosła mowę na cmentarzu wygłosił arcybiskup lwowski, ks. Bilczewski. Sumę odprawił ks. arcybiskup warszawski, Wincenty Chościak - Popiel. Za konduktem żałobnym, wśród niezliczonych tłumów, kroczyli przedstawiciele zakonów: OO. Dominikanów, Paulinów, Bonifratrów, Jezuitów, Re-

formatów i Bernardynów oraz 150 przedstawicieli duchowieństwa świeckiego.



Z. Morawska.

Przygody Imć Pana Mikołaja.

Powieść z XVI w.

(Ciąg dalszy).

XXI.

Jak imć Reja coraz zacniejsze myśli obsiadają.

Długa upłynęła chwila, nim Tęczyński z przybyłym gościem się załatwił.

Szedł z nim teraz do gościnnej komnaty, a ktoby spojrział na przybyłego mógł sobie pomysleć:

— Że też takiego pospolitaka j. wielmożni do swego towarzystwa i konfidencyi chcą przyjmować.

Prócz bowiem prostego zapyłonego podróża, odzienia, postać jego mimo okazałego wzrostu marnie się przedstawiała.

Czarny, opalony, z głową krótko ostrzyżoną, niewielkimi wąsikami i bródką jak u kozła rozwichrzoną, wyglądał na wędrownego kramarza, a bodaj cygana.

Jeno oczy czarne z pod brwi krzaczastych sypały iskry, a z błysku ich znać było chęć panowania energią i siłą.

Wojewoda oddawał mu pewne powściągliwe pierwszeństwo, na które przybyły przechodząc do komnaty gdzie Tęczyński zostawił dostojnych gości, również z pewną powściągliwością odpowiadał.

A z owej komnaty buchał śmiech wesoły, bodaj tak wesoły i bez troski, jeno z grubszych i starszych głosów złożony jak z izby, gdzie młodzież się zabawiała.

Tęczyński brwi zmarszczył, jakby tą wesołością nie rad przed gościami się popisać.

Wprędce wszakże się rozpogodził i zwracając się dwornie, rzekł po łacinie:

— Wśród najpoważniejszych obrad umiemy wesołością i śmiechem wybuchnąć.

— To nas jeszcze więcej z wami brata, boć jednakowe mamy cechy, — odparł przybyły.

Tęczyński ręką wejście do komnaty wskazywał.

Zebrani nie posłyszeli nawet ich wejścia, jeno śmiejąc się wciąż, słuchali dykteryjek Mikołaja Reja, który, to biorąc się pod boki, to udając, że wąża pokręca, to naśladowując gło-

sy rozmaitych zwierząt dostojnych gości zabawiał.

Aż Jan Tarnowski zoczywszy Tęczyńskiego rzekł:

Uciesznego masz dworzanina szwagrze. ¹⁾

A Rej skłoniwszy mu się do kolan mówił: — Wybacz wasza miłość, że w jego nieobecności, jako umiał, gości zabawiał.

I przybrawszy minę wytrawnego dworzanina stanął na uboczu, przypatrując się nowemu gościowi.

— Możesz odejść! — rzucił Tęczyński i skieniem ręki rozkaz powtórzył.

— Pocom ja się z *konceptem* listu do j. wielmożnego druha mojego ojca tak śpieszył, — kiedy mi czytać nie każą... Przeszło mu przez myśl gdy wychodził z komnaty.

— Ten przybyły istny cygan... — dodał.

Aż nagle dłonią zakrył sobie usta, jak gdyby chciał wymówiony wyraz napowrót wtłoczyć.

— Toć to pewnie Zapolia.. ba, juści nie-co... — słyszałem przecie, że Węgry do cyganów podobne, czy tam cygany do Węgrów... a tu wszyscy o jakimś węgierskim panie przebąkują, a przeor wciąż mi to nazwisko powtarzał, — myślał sobie dalej.

— Ale co mi tam! — nie kazano mi nikomu powtarzać, to i myśleć o tem nie będę, — dodał machnąwszy ręką.

Nie miał też i czasu głowę sobie tem zaprzętać, bo usłyszał wielki rumor przed zamkiem i tętent kopyt końskich i parskanie w podwórcu.

— Nowi goście! — zawołał radośnie, — ale cóż, kiedy same matafory, a uciech, assambłów i różnych różności, którem sobie na dworze wyobrażał, ani w ząb.

Ale te myśli przerwał mu marszałek.

— Oznajmij j. wielmożnemu panu, że j. wielmożny Marcin Kamieniecki, wojewoda bracławski zamek nasz nawiedzić raczył.

Mikołaj spojrział na mówiącego, a potem zwróciwszy się szedł z oznajmieniem.

Aż nagle strzepnąwszy ręką, znów pomyślał:

— Nie głupim drugi raz śpieszyć się tak z pisaniem.

Tęczyński wcale nie był zdziwiony przybyciem nowego gościa, — owszem szedł na jego przyjęcie, jakby go oczekiwał.

A Mikołaj stanąwszy na uboczu ciekawie mu się przypatrywał, czyniąc po swojemu w myśli uwagi:

— Persona, — niema co, — persona.

Aż spotkawszy Konieckiego rzekł:

— Będzie nam dziś jasno, a wojewodzińska kieszeń na to i grosza nie wyda.

— Abo co? — zapytał kamrat.

— Tylu jasnych się zjechało, że od tego samego wszystkie komnaty się oświeca.

— Jeno nie wszystkim jasność ta przyświecać będzie, — odparł z przekąsem Albin, który mimo zgody, wciąż zazdrościł Mikołajo-

¹⁾ Tęczyński miał za żonę siostrę Tarnowskiego.

wi, że raz w raz do wojewody jest wzywany i między gośćmi długie godziny przebywa.

— Pii, komu tej jasności będzie mało, to sobie drzazgą przyswieci, — odparł niedbale Mikołaj.

I poszedł w swoją stronę, nie chcąc zważy z kamratem czynić.

A w gościnnej komnacie wrzało od przy-ciszonych narad.

Ow gość bowiem niepozornie wyglądają-cy, był to rzeczywiście Jan Zapolia, kandydat do korony węgierskiej.

Bawił on już od niejakiegoś czasu na dworze Kamienieckiego, a teraz przebrany poprzedził go do Krakowa, by dalej stronników sobie jednać, a kandydaturę swą na tron węgierski po śmierci Ludwika Jagiellona popierać.

— Wasz król szwagrem mi przecie — mówił.

— Wasza miłość wybaczy, ale muszę zro-bić uwagę, że w polityce nie wiele powinowactwo waży, — mówił Tarnowski.

— Stajecie przeciw, — ozwał się porywczy Zapolia.

— Gorętszego stronnika nade mnie w ca-łej Polsce jego miłość nie znajdzie, — odparł hetman, kładąc rękę na sercu.

I zaraz mówił dalej:

— Jako taki, śmiem ostrzegać, — że Zy-gnunt pan nasz najmiłościwszy, spokrewniony jest z cesarzem Ferdynandem przez drugą swą małżonkę Bonę, która jak wiemy, wpływ wielki ma na leciwego małżonka.

— Cóż ją może obchodzić, kto tron węgierski posiadzie, — mruknął Zapolia.

— Zapewne nie o tron węgierski jej idzie, ale o maneł¹⁾ talery, które krewniak za pośrednictwo jej posyła, — mówił powoli Tęczyński.

— Co? — spytał ze zdziwieniem Zapolia.

— Niestety, dwór nas z słynący z szla-chetności, skalany został intrygą i przekup-stwem, — raz w raz przyjeżdżają cesarscy po-słowie, którzy prócz intryg wnoszą niepokój w dom królewski, — rzekł z bolesnem west-chnieniem Tęczyński.

Zapolia targał brodę, zamyślając się głę-boko, a Kamieniecki zapytał:

— To źle się dzieje i prowadzenie kan-dydata, któryby trzymał stronę Jagiellonów i nie pozwolił na rozpanoszenie się Habsbur-gów bardzo niepewne?

Tęczyński rozłożył ręce i uczynił ruch, jak gdyby chciał powiedzieć.

— Nic w tej chwili na to nie poradzę!...

Inni zasępiłi się, nastąpiła chwilowa cisza.

Powoli z ciszy począł wydobywać się szmer półgłosnej rozmowy, w której Zapolia nie brał udziału.

Stał oparty o framugę okna, z ócz jego sypały się błyskawice, a z całej postaci wyzie-rała coraz większa energia, która zdawała się wołać:

— Zdruzgocę wszelkie przeszkody i po-stawię na swoim!

Tarnowski podszedł do niego i wycią-gnąwszy dłoń, zawołał:

— Wszystko co będzie w naszej mocy, uczynimy, nie trzeba tracić nadziei..

— Nie tracę jej też — ozwał się ponuro Zapolia.

I dodał z zapałem:

— Zaniechałbym korony, i chętnie głowę swoją położył, byleby tylko ukochanej ojczy-zny pod panowanie Niemcom nie oddać.²⁾

— Wam idzie o ojczyznę, a i nas ró-wnież boli, że nieopatrzne układy wiedeńskie z r. 1515 Czechy i Węgry w ręce Habs-burgów oddały, a tem samem poniżyły wpływ panującego nam domu i potędze Rzeczypospo-litej zagrażają³⁾ ozwał się Tęczyński.

— Będziemy też wszelkimi siłami waszej miłości bronili! — zawołał z zapałem Kamie-niecki podchodząc do Zapolii, który aż do tej chwili u niego bawił i razem z nim do Kra-kowa jak wiemy przybył.

— Lecz pobyt waszej miłości w Krako-wie, może narazić go na niebezpieczeństwo i dla tego w skromne moje progi jego miłość śmiem zaprosić, — dodał Tarnowski kłaniając się przyszyłemu swemu gościowi.

— A tymczasem wszyscy jak tu jesteśmy, stronników dla waszej miłości postaramy się zjednywać, — rzekł Tęczyński, przykładając rękę do serca.

— Wszyscy co do jednego! — zawołali gorąco inni.

— Dzięki wam, w imieniu ukochanej mo-jej ojczyzny! — zawołał z zapałem Zapolia.

Wtem delikatne pukanie do drzwi dało się słyszeć

— Można! — zawołał gospodarz.

Postanowione było raz na zawsze na jego dworze, że podczas zjazdów i obrad, mógł tyl-ko wchodzić ten, który był raz już wezwany.

Otrzymałszy więc i w tej chwili pozwo-lenie ukazał się imć Mikołaj i kłaniając się czapką do ziemi rzekł:

— Marszałek dworu waszym wysokościom przez moje usta oznajmia, że stoły zastawio-ne oczekują na ichmość panów.

Wojewoda skinął głową.

Rej oddalił się, a w tejże chwili ukazali się pachołcy w barwę Tęczyńskich przybrani, otwierając podwoje i wskazując drogę dostoj-nym gościom do wielkiej jadalnej komnaty.

Tęczyński przechodząc koło stojącego na uboczcu Reja, szepnął:

— Spal koncept listu, który ci kazałem napisać.

Dworzanin pochylił głowę z ukłonem.

A Tęczyński jakby się namyslił, zmienił rozkaz:

²⁾ Historyczne.

³⁾ Mocą tych układów Zygmunt zezwolił, iż po bezpotomnej śmierci Ludwika Jagiellona, korona Czech i Węgier przejdzie na siostrę jego Annę, zaślubioną Ferdynandowi ces. niem.

¹⁾ Ozdoby złote drogiemi kamieniami wysadza-ne, któremi przystrajały się kobiety.

— Albo mnie oddaj.

Rej wyjął z zanadru złożony papier i podał go wojewodzie.

Ten puściwszy naprzód gości, przebiegł oczami podany sobie papier, a rozdarszy go na kilka części, oddał Mikołajowi i rzekł z naciśnięciem:

— Wrzuc to zaraz w pierwszy lepszy komin.

Młodzieniec odebrał podarte pismo, a idąc spełnić rozkaz, myślał sobie:

— Co za szkoda mojej pracy.

A potem dodał:

— Byłbym sobie na pamiątkę ostawił, a świat miałby być co podziwiać, że kiedy wszyscy piszą po łacinie, ja odważyłem się pisać po polsku,—i to jeszcze do takiej osoby.

— Sprawa musi być ważna,—ale co to za jeden ten co przybył.

Tak rozmyślając wbiegł do pierwszej lepszej otwartej komnaty i w pałacy się ogień na kominie wrzucił list podarty, mówiąc:

— Spalaj się myśli i praco moja!...

I zaraz przyszło mu do głowy, że można by coś na ten temat napisać.

Szedł więc do swojej izby w zamyśleniu, a z jadalnej komnaty poczęły dochodzić coraz weselsze gwary.

Aż i głośne okrzyki się wzmogły.

— Elien! Elien! ⁴⁾

— Znów coś nowego wymyślili,—szepnął Rej niechętnie.

I machnąwszy ręką wymknął się z zamku.

Szedł tak w zamyśleniu, aż nie postrzegł się gdy się znalazł za miastem.

Zdała nie widać było lasów okalających stolicę,—wielki pożar, który doskonale Rej pamiętał i którego o mało nie stał się ofiarą zniszczył je doszczętnie.

Opalone sosny sterczały gdzieniegdzie, jakby wzywając opieki niebios,—zaczerniała i zeschnęła ziemia zdawała się wołać o pomoc, ponury jesienny wicher wygrywał żałośnie...

Rej począł się wsłuchiwać w jego melodyę i myślał:

— Czyż i losy człowieka są tak znikome i smutne...

— Może i losy całego kraju? — zadał sobie pytanie.

— Nie,—kraj nasz wielki, bogaty, potężny, inne narody mają go w poszanowaniu,—odparł z pewną dumą.

I serce zadrgało mu jakimś nieokreślonym uczuciem.

I poczuł wielką miłość dla tej ziemi dla całej Rzeczypospolitej, dla wszystkich, co dla niej i za nią krew przelewali.

Westchnął też głęboko i rzekł:

— Boga mi, i ja dla niej pracować będę!

XXII.

Jako dowcip młodego Reja miał posłużyć panom do ich celów.

Jeżeli na dworze Tęczyńskiego ruch był w onym czasie ogromny i uradzono, kogoby na tronie węgierskim utrzymać, niemuiej zbiegało się na dworze królewskim dostojnych osób.

Jan Zapolia usunął się wprawdzie z Krakowa i na dworze hetmana w Tarnowie przebywał, ale hetman pozostał i wraz z Tęczyńskim, Kamienieckim i wielu innymi, jedną mu stronników, a przedewszystkiem przychylność monarchy.

Zygmunt I na zdaniu onych panów wielce polegał, lecz Bona, otrzymując rzeczywiście sute podarki od Ferdynanda, a nie pamiętając na sprawę Jagiellonów, w których dom weszła, całą sprawę wpływem swym na małżonka co chwila psuła.

— Trzeba królową przejednać,—rzekł Tęczyński.

— Trzeba, ale jak?—odparł Tarnowski.

Tęczyński zamyslił się przez chwilę, a Marcin Kamieniecki przybierając poważną minę, mówił:

— Królowa jejmość lubi krotochwile, posłać jej tego młokosa Reja, to ją jak nas dykteryjkami w dobry wprowadzi humor.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, a Tęczyński rzekł:

— Dobrzeby to było, jeno, że dworzanin mój po włosku nie umie, a królowa jejmość polskiego języka nie rozumie.

— Ale ponieważ Włoszka lubuje się w przedstawieniach i assablach, dobrze byłoby dla jej uciechy krotochwilę urządzać, a wprowadziwszy w dobry humor, stronnicek Zapolii uczynić,—mówił dalej, namyślając się nad każdym wyrazem.

— Ale to już advent, a choć i Wszyscy Święci i święty Marcin i święty Andrzej zawiedli i na białym koniu nie przyjechali, a słonko gorącością czyni nam niespodzianki,—święta Barbara nie chybi i białym płaszczem ziemię okryje,—zrobił uwagę Tarnowski.

— To też do każdej krotochwili trzeba przygotowania i na Trzy Króle ledwie wyśpieszymy,—mówił Tęczyński, który znając upodobania małżonki Zygmunta I, z tej niespodzianki rokował sobie niepospolite nadzieje.

— Nie naszać to rzecz jeno niewieście, a dwórek i dworzan moich coby takiego wymyślić i uczynić,—a jakieście oto rzekli w tym wypadku i Rej może być przydatnym—dodał.

A co j. wielmożny wojewoda postanowił, wszystko musiało być według jego woli spełnione.

Wrzało więc na dworze j. wielmożnej wojewodziny *de domo* Anny Ożarowskiej, wrzało między dworzanami wojewody, a wśród tego Rej prawdziwie rej wodził. (d. c. n.)



⁴⁾ Okrzyk węgierski: — niech żyje!

Wiosna życia.

Pomnisz te chwile
Dziecięcych lat,
Kiedy na łące, bawiąc o zmroku,
Chcieliśmy wzlecieć do gwiazd obłoku,
Jak nam się mile
Uśmiechał świat?



Wiosna życia.

Lub kiedy wiosną
Roztajał śnieg,
Jak nas cieszyła zieloność łąnu,
Że słowik śpiewa na chwałę Panu,
I jak radosno
Płynął nasz wiek?

Porankiem znowu,
W majowy dzień,

Kiedy wesoło bratki, dzwoneczki,
Dłoń nasza w skromne plotła wianeczki.
Lipy z parowu
Skrywał nas cień?

Mieszkańców lasu
Czarowny śpiew...
Jakże nas cieszył nutą wesołą,
Gdy się po niwach rozległ w około
O rannym brzasku
Wśród ziół i drzew!

Piękne to chwile,
Spędzone tam!
Na ukochanych rodziców łonie,
W lubem przyjaciół i krewnych gronie.
Gdzie było tyle
Życzliwych nam!

Wszystko bawiło.
W porze tych lat!
Leśne ptaszyny, barwne kwiateczki,
Rodzinna wioska, niebo, gwiazdeczki,
Dziecię prześniło,
Dni swoich kwiat!

W. B.

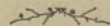


Porwany przez wilki.

BAJKA

przez

Stanisława Krauza.



(Ciąg dalszy.)

Do tych głosów skierowały się moje wilczki, spodziewając się znaleźć inne wilki a może i rodziców swoich. I nie omyliły się. Wkrótce otoczyło ich spore stado wilków, polujących razem i poczęli ciekawie wypytywać się nowych przybyszów. Gdy dowiedziano się, że wilczki są dziećmi Burasa i Siwej, wnet posłano do tych ostatnich z radosną wieścią, że ich synkowie znaleźli się. Zadyszani zjawili się wkrótce Buras i Siwa i na oświetlonej księżycem

polance leśnej odbyła się czuła scena przywitania. Buras obejrzał swych synów i powiada:

— Duże z was wilki, moi synkowie, lecz polować pewno nie umiecie a i naszych leśnych obyczajów nie znacie. Zaraz od jutra trzeba się do nauki zabrać.

— Dobrze to — powiada Śmiały — lecz myśmy tu przyszli po waszą pomoc. Gdyby nie pewien chłopiec, Władzio, dawnoby już nas zastrzelono, musimy więc go z domu wydestać, bo go rodzice chcą zawieść do szkoły!

Wnet odbyła się narada wilków i postanowiono w tej chwili wykraść Władzia z domu i umieścić go u rodziców Odważnego i Śmiałego.

— Kto jest naszym przyjacielem — zakończył tak naradę Buras — tego my nie zostawimy bez pomocy, gdy mu coś grozi. Takie są nasze leśne prawa!

I oto cichutko mknie kilkanaście silnych wilków w stronę dworu Leniszek, a nasze wilczki prowadzą pochód, omijając podwórze, aby psów nie spotkać. Już są pod oknami pokoju, w którym śpi Władzio, nie przeczuwając niczego. Okno na szczęście otwarte, bo noc gorąca, więc cichutko wpada do pokoju czterech najsilniejszych z gromady, chwytają śpiącego chłopca z kołdrą w zęby i podają kolegom na grzbiety. Ci uginają się pod ciężarem, lecz szybko przebiegając z nim ogród i pola aż do rzeczki. Tu trzeba się przeprawić, a to sprawa niełatwa.

Obudziło mnie zimno i uczucie czegoś mokrego w nogach. Otwieram oczy i nie rozumiem, co się ze mną dzieje. Nade mną nie sufit mego pokoiku, lecz usiane gwiazdami niebo, a w koło mnie słychać plusk wody, która moczy mi stopy. Co to się ze mną dzieje? Czuję, że mnie ktoś niesie przez rzeczkę, a przede mną już i las widać.

Staram się wysunąć głowę z kołdry i widzę koło siebie Śmiałego, jak biegnie trzymając w zębach róg mej kołdry.

— Dokąd mnie niesiecie? — pytam się go.

— Ach, — odszczekuje wesoło Śmiały — obudziłeś się nareszcie! Ależ masz twardy sen. Porwaliśmy cię z domu i niesiemy do nas, do lasu. Niema tam żadnego gimnazjum, tylko życie swobodne!

— Spodobała mi się ta awantura, muszę się przyznać. Czyż to nie zabawnie być przez wilków porwanym i pożyć sobie między nimi? Jechać na wilczych grzbietach było niezłe, więc udałem, że śpię jeszcze, aż dopiero w głębi lasu musiałem stanąć na nogi. Znaleźliśmy się w samym środku wilczej gromady, która mnie zewsząd otoczyła.

Wilki przystępowały kolejno i podawały mi na znak przyjaźni swe łapy, uzbrojone w

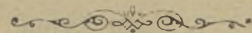
pazury a ja im swą małą rękę. Odważny podał mi moje ubranko, które zabrał z domu razem ze mną tak, że mogłem się ochronić od nocnego chłodu.

Ranek zastał już nas w małej grotce, do której mnie zaprowadzili rodzice moich przyjaciół — wilków. Była to spora dziura w skalistej górze wśród olbrzymiego lasu; niedaleko płynął strumień czystej, źródlanej wody. Przyniesiono mi na śniadanie małego zajączka, oczywiście na surowo, lecz nie mogłem go jeść, choć głód mi dokuczał. Wtedy powiedział mi stary Buras, że będę musiał na swoją rękę urządzać polowania: wybrać się trzeba na pole, gdzie są kartofle i inne jarzyny, to będę mógł sobie je piec; jagód też w lesie znajdę podostatkiem.

Mieszkanie wilczej rodziny było bardzo blisko od mej jaskini i cały dzień spędzaliśmy razem. Buras i Siwa zajęli się wychowaniem młodych wilczków, ucząc ich zwyczajów leśnych i sposobów walki i obrony. Z tego i ja dużo skorzystałem. Dowiedziałem się, że wilk może zjeść drugiego wilka tylko wtedy, gdy już wielki głód panuje naprz. w zimie, no, i jeśli tamten da mu się oczywiście. Natomiast zabitego zjeść może każdy bezkarnie. Dowiedziałem się, że trzeba się strzedz niedźwiedzia i rysia, że jelenia najlepiej wpędzić w gąszcz, aby się rogami zaplątał i t. p. Dowiedziałem się też, że w naszym lesie mieszka jeden stary dzik — jedynak t. j. taki, co nie chodzi razem ze stadem, lecz oddzielnie i że ten dzik imieniem Ponury, jest postrachem lasu całego: nawet młode niedźwiedzie boją się go i uciekają, gdy usłyszą w leśnej gęstwinie jego chrząkanie. Ponury wszystkim dał się już we znaki: wilki, lisy, borsuki nosiły ślady ogromnych kłów jego, którymi raził wszystkich napotkanych na drodze. Taką już miał złość do całego świata!

Uważałem, że przy opowiadaniu o sprawkach Ponurego, Śmiały i Odważny słuchali z uwagą i wypytywali rodziców, gdzie najłatwiej znaleźć starego samotnika.

(a. n.)



J. PIASECKA.

Dzielny Jędrus.

(Ciąg dalszy).

Gawędzili o czem. innym, a gawęda tak ich zajęła, że ani spostrzegli, jak przejechali

Gospodarstwo mrówek.

(ciąg dalszy).

Mrówki pasterze.

Prócz mrówek, żywiących się przeważnie nasionkami, lub grzybną jarzyną, jest wiele innych gatunków, które nazwaćby można pasterzami. Trzymają one stada mszyc, niby dojnych krówek, dostarczających im słodkiego płynu. Zgłodniała mrówka głaszcze różkami mszycę, a ta wypuszcza z ciała swego kropelkę słodyczy, prawdziwy przysmak mrówczy. Wzamian za te usługi mrówki starannie pielęgnują swe żywicielki: ochraniają je od wrogów i otaczają nieustanną opieką. Mszyce obsiadają zwykle gałązki młodych roślin, z których smoczkami wysysają potrzebne im soki.



Podziemne obory mrówek.

Otóż mrówki łączą rośliny, na których pasą się ich krówki, krytymi drogami, jakby tunelami, ze swem mrowiskiem.

Jeżeli ogrodnik, ratując drzewka, zniszczy wszystkie mszyce w ogrodzie, niezmordowane hodowczynie naznoszą je z dalszych okolic i w krótkim czasie gałązki będą tak samo, jak dawniej oblepione. Inne gatunki mszyc żyją w ziemi, na korzonkach roślin. Dowiedziawszy się o nich mrówki przenoszą je do swych osad, gdzie się takie same korzonki znajdują i trzymają je tam, jakby prawdziwe krowy w oborze.

Czasami jednak, jeśli te stada są bardzo liczne, a czasem dochodzą do paru tysięcy sztuk, budują dla nich osobne komory, połączone z mrowiskiem wygodnymi przejściami.

Lecz mszyce zamierają na zimę, zatem przezorne mrówki, chcąc zapewnić sobie trzodę

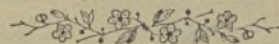
na przyszłe lato, zbierają jajka mszyc i przechowują starannie, a ponieważ wylęgnięte z nich na wiosnę owady potrzebują słońca i powietrza, wynoszą je wówczas z domu i osadzają na odpowiednich roślinach.

Oprócz mszyc trzymają mrówki jeszcze w swych gniazdach rozmaite chrząszcze, szczególnie z rodzaju kusaków ¹⁾ i rozróżków ²⁾ liszki chrząszczów kruszycy złotawka, ³⁾ muszennicy ⁴⁾ i innych. Trudno zrozumieć, w jakim czynią to celu, gdyż rozróżek np. przebywając ciągle w ciemnych podziemiach mrówek, zatracą wzrok i sam wyżywić się nawet nie może.

Podobnież karmią one i inne chrząszcze — mrówkomirki. ¹⁾ Przypuszczać należy, że stworzenia te chronią mrówki od drobniutkich pasorzytów, od których same obronić się nie potrafią.

Inni znowu zapewniają, że mrówki trzymają je dla swej rozrywki, tak jak my chowamy pieski pokojowe, lub kotki.

(d. c. n.)



Zdania i myśli.

Kto skąpo chwali, niechaj jeszcze skąpiej gani.

Wincenty Kadłubek.



Pochlebca prawie dobrze wyćwiczony
Jest panom łgarzom cioteczno-rodzony.

Mikołaj Rej.



Każdy winien jest tyle spłacić krajowi,
na ile tylko stać siły jego ducha.



Z bólu zmartwychwstaje duch; z podłości
tylko zmartwychwstania nie masz.

Kajetan Kraszewski.



¹⁾ Staphilidae, ²⁾ Clavigeridae, ³⁾ Cetonia aurata, ⁴⁾ Clythra.

¹⁾ Ateleles paradoxus.

²⁾ Szczegóły powyższe wzięte z książki St. Kulczyckiego p. t. Mrówki.



CISZA WIECZORNĄ.

Z cyklu: *Drzewa.*

BRZOZA.

A czemuż ty ponad wodą,
— Gibasz się — brzezino,
Czemu nurzasz zieleń młodą,
W tych falach, co płyną?

Czemu liście twoje — złote
Od poświęty słońca
Szumią wiatrom swą tęsknotę
I płaczą bez końca?

— Jakże nie mam ponad falą
Chylić się żałośnie:
Toć się liście moje żalą,
Dobrej pani — wiośnie.

Toć się skarżą moje liście.
Szumiąc niewesoło,
Że łzy płyną tak rzęsiście,
Jak szerokie sioło.

Idź od chaty tam do chaty
Ujrzysz trud i znoje,
Prześciąknięte potem szmaty,
Rąk zczerniałych dwoje..

Zajrzyj w oczy zasmucone,
Że przednówek długi,
Rachuj brony użębione
I błyszczące pługi...

Pytaj czarnej ziemi w polu
I jasnego nieba —
Ile trudu, ile bólu
Wart kawałek chleba.

Pytaj słońca, co się toczy,
Przez długi dzień cały,
Ile złote jego oczy
Niedoli widziały...

Idź na cmentarz ten wioskowy,
Gdzie krzyż zdala świeci..
I nieszczęsne policz głowy
Z nędzy mrących dzieci..

Mnie o wszystkim ptaki kwilą,
Kruk w przelocie kracze —
I gałęzie w dół się chylą,
Serce z żalu płacze..

Leon Rygier.

Król Przestrzeni.

Ostatnia powieść **Juliusza Verne'a.**

Przekład **I. P.**

(*Ciąg dalszy.*)

Żadnego listu, żadnej depezy! Noc nastę-
pna także nie przyniosła nic.
W ten sposób minęły jeszcze trzy dni.



Widziano Grozę wlatującą nad Great-Eyry.

Wówczas stało się to, co było do przewi-
dzenia odrazu.

Kable zniosły sensacyjną wieść do Europy.

Wszystkie pierwszorządne państwa Starego Świata, jak Anglia, Francya, Niemcy, Rosya, Austria postanowiły walczyć z Ameryką o pierwszeństwo w nabyciu wynalazku, który mógł je wywyższyć ponad inne, zapewniając przewagę olbrzymią, szczególnie podczas wojny. Taki cel czyż nie wart milionów?... Prasa europejska zaczęła wydawać odezwy identyczne z odezwą rządu Stanów Zjednoczonych.

Lecz tajemniczy wynalazca nie dawał znaku

życia. Mógł zostać miliarderem, rywalem Gouddów Vanderbildów, Morganów, lecz po nagrodę się nie zgłaszał. Świat cały przekształcił się na jakiś rynek, giełdę, gdzie prowadzono licytację niesłychaną.

Rano i wieczór gazety podawały cyfrę nagrody, podnosząc ją za każdym razem. Wreszcie dosięgła ona olbrzymiej sumy 20000000 dolarów, czyli 100000000 franków.

Na sumę powyższą zdecydowały się Stany Zjednoczone po długim posiedzeniu kongresu. Nikt jednak z Amerykanów nie uważał, że cyfra jest zbyt wysoka. Słyszano nawet zdanie, że wynalazek tak znakomity wart dużo więcej.

Państwa europejskie usunęły się od licytacji... Ograniczyły się tylko do uwag sceptycznych, jak np... „tajemniczy wynalazca się nie pojawia... nic dziwnego, niema go wcale... nie egzystował nigdy... cała ta sprawa jest mistyfikacją na szeroką skalę... Wreszcie może i istniał naprawdę, lecz zleciał w przepaść lub utonął w głębinach morza...”

Czas upływał, a żadna odpowiedź nie nadchodziła... Tajemniczy przyrząd nie ukazywał się nigdzie.

Traciłem zupełnie nadzieję rozwiązania tej palącej zagadki.

Wreszcie 15-go lipca raniutko znaleziono w skrzynce przy zarządzie policyjnym list bez stempla pocztowego.

Władze zaraz po odczytaniu posłały list ten do redakcji dzienników waszyngtońskich, które wydały go jako dodatek nadzwyczajny.

Oto jego treść:

ROZDZIAŁ IX.

List drugi.

Na pokładzie „Grozy”.

15-go lipca.

Do mieszkańców Starego i Nowego Świata!

Propozycje poczynione przez rozmaite państwa europejskie i Stany Zjednoczone Ameryki północnej zmuszają mnie do odpowiedzi.

Oznajmiam zatem, że odmawiam stanowczo przyjęcia nagrody za mój wynalazek.

Nie będzie on nigdy ani francuskim, ani niemieckim, ani angielskim, ani rosyjskim, ani amerykańskim, ani austriackim.

Pozostanie zawsze moją własnością prywatną i zrobię z nim, co mi się spodoba. Przy jego pomocy panować mogę nad całym światem. Nie oprze się mnie żadna potęga ludzka!

Niech nikt się nie łudzi, że zdoła mi wydrzeć mój pomysł. Za zło, które mi zechcą wyrządzić, potrafię się odemścić stokrotnie.

Milionami, które mi ofiarowują, gardzę. Nie potrzebuję ich wcale. Zresztą, gdybym ich kiedykolwiek zapragnął, wystarczy tylko abym wyciągnął po nie rękę, a zleją się na mnie obficie.

Niech wie świat Stary i Nowy, że są wobec mnie bezsilni — ja zaś jestem względem nich wszechpotężnym.

Tym razem podpisuję się otwarcie:

Król Przestrzeni.

ROZDZIAŁ X.

Poza prawem.

Noc z 14-go na 15-ty lipca była ciemna, bezksiężycowa. Dużo ciekawych stało na ulicy od zachodu słońca aż do wschodu, nikt jednak nie widział, kto list powyższy wrzucił do skrzynki. Może nawet sam autor?

Dodatki nadzwyczajne podały również facsimile listu, który wywołał wrażenie olbrzymie. Jedni uważali go za żart, inni znowu traktowali tę sprawę poważnie.

— Tu niema mowy o żadnej mistyfikacji — twierdzili. List ten pisał niewątpliwie twórca niepochwytnego przyrządu!...

Domysłom nie było końca.

Więc ten człowiek genialny, tak starannie, zachowujący incognito, nie zginął wcale!.. Ukrył się tylko w takie miejsce, gdzie go ręka policyi dosięgnąć nie może... W odpowiedzi na propozycje rządów napisał list... nie wysłał go pocztą, lecz przybył osobiście do stolicy Stanów i wrzucił własnoręcznie do skrzynki przy zarządzie policyjnym...

Może też wkrótce da nowy dowód swego istnienia?...

Jeżeli tajemniczy wynalazca pragnął rozgłosu, powinien był być zadowolonym, miliony czytelników, odczytując jego odpowiedź, „nie wierzyły swoim oczom”.

Od pierwszej chwili pismo wydało mi się znajome. Według grafologii zdradzało ono temperament gwałtowny, charakter samowolny.

Łamałem sobie głowę, gdzie już je widziałem. Nagle z piersi mej wyrwał się okrzyk... przypomniałem sobie list, otrzymany przed miesiącem z Morgantonu!...

Dziwnym, znaczącym może, zbiegiem okoliczności, inicjały, zastępujące podpis tamtego listu, mogły być początkowymi literami wyrazów: „*Król Przestrzeni!*...”

Zerwałem się z krzesła, podszedłem do biurka, wyjąłem z niego list, otrzymany w dniu 13-go czerwca i porównałem go z facsimile. Nie było cienia wątpliwości. Pismo zupełnie jednakie.

dobrą miłą szosą i konie same skreśliły w boczna, rozniętkłą od błota, drogę.

Kobieta poruszyła się żywiej.

— Otóż dziękować Bogu, już i Wólka. Jedź chłopcze ostrożnie, żebyś tam gdzie nie ugrząśł, — dołów pełno, a przy płotach kupy kamieni.

Jędrus ściągnął konie i powlekły się, noga za nogą.

Prawie we wszystkich chatach było już ciemno, psy pospuszczane z łańcuchów, ujadają.

— Dobrze mi się trafiło z tym wywróconym wozem, — myśli Jędrus, gdziebym ja przemocował? W polu na deszczu zmókłbym i zziąbnął jak kość, a tu, psy by mnie chyba rozszarpały. O jaki Bóg dobry, że mnie nie opuścił, choć tak bardzo zgrzeszyłem.

Ā podniósł wzrok dziękczynny do nieba a tam, migała wśród ciemności jedna, jedyna gwiazdka maleńka i mówiła mu.

„Bóg jest nieskończenie dobry, miłosierny, a od ludzi tego tylko chce, by mu wiernie służyli i cnotliwie żyli na świecie. A żyć cnotliwie na świecie łatwo, tylko trzeba, chcieć, chcieć, chcieć“.

Konie zatrzymały się przed porządną, białą pobieloną chatą.

Pies powitał przyjezdnych szczekaniem, staruszka z lampką w ręku stanęła we drzwiach.

— A, nareszcie, zawołała, — nareszcie, a toć myślała, że się was nie doczekam.

Odebrała dzieci z rąk kobiety i niosąc do domu mówiła.

— A tak się kłopotalam, myślałam, że was spotkało jakie nieszczęście.

— A toć spotkało matko, toć spotkało, — żywo zaczęła opowiadać kobieta, — Marcin się upił, jak bela, wywrócił, mało się konie nie podusiły w rowie, bo jeden przewrócił się na przednie nogi. Żeby nie poczciwy jakiś chłopak, który mnie z biedy wyratował i przywiózł, to nie wiem, coby było. Dotądbym chyba siedziała z dziećmi w polu.

Matka ręce załamała.

— O Boże, co też mówisz, a gdzież Marcin?

— A leży na wozie, ale niech leży, nie myślę go sprowadzać, jak przemarnie to prędzej wytrzeźwieje i dłużej popamięta pijatykę. Skaranie Boże z tą gorzałką.

— Oj prawda, święta prawda, potakiwała matka, — obraza Pana Boga i nic więcej. Ale jakże go tak zostawić na wozie, rozchoruje się, toć to stworzenie Boskie. Agatko moja, nie można tak, i nad złym trzeba mieć litość. Bóg przecie może da, że się upamięta...

I podreptała do wozu, z którego już Jędrus zdążył ściągnąć pijanego.

Zataczał się i bełkotał coś nierozumiale.

Gdy wszyscy znaleźli się w oświetlonej izbie, a dzieci na widok gorącej strawy, płakać też przestały, i wyciągały ręce do łyżek, staruszka zastawiła stół i wszyscy usiedli do spóźnionej wieczerzy.

Jedli ze smakiem, z największym przecież Jędrus, bo nic od rana w ustach nie miał. Posiliwszy się, poszli spać.

Była to pierwsza noc, jaką Jędrus spędził z dala od dziadusia.

VI.

Na wsi wcześniej ruch się rozpoczyna, ledwie dnieje, a już wszyscy na nogach. Każdy dąży do swego zajęcia,

Ā u Marciniów było nie inaczej. Babula krzątała się koło komina, gdy Jędrus zmówiwszy poranny pabierz, zabierał się w dalszą drogę.

— A cóż ci tak śpieszno? — zagadnęła.

— Po co czekać, wcześniej wyjdę to i prędzej w mieście stanę.

— A po cóż ty tam idziesz?

— Szukać służby.

Stara kobieta przyjrzała mu się uważniej.

— Na służbę, a cóż ty myślisz robić, umiesz co?

— Ęj, mało co, ale mam wielką chęć pracować, to się nauczę.

— Wielka to prawda, że jak kto chce, to może, — no, ale przecież w chrześcijańskim domu nocowałeś, nie puścimy cię tak o głodzie, zjesz śniadanie z nami. A na drogę, masz też co? — to spory kawał drogi.

— Nie, nie mam nic.

Stara kręciła głową.

— No, no, osobiwi jacyś ludzie ci twoi opiekunowie, — gderała, patrząc na chłopca, tak cię też puścili w świat bez nijakiego przyodziewku, bez grosza, nawet bez kawałka chleba, a mówiła mi synowa, boś jej podobno rozpowiadał przez drogę, że masz uczonego dziadka. To mi dopiero uczone, kiedy nie wie, że się tak dziecka w świat nie puszcza!

Jędrus, usłyszawszy tę naganą na dziadka, poczerwieniał z oburzenia.

— Dziadus mnie wcale w świat nie wysyłał, dziadus mi nic nie dał, bo dziadus... bo dziadus nie wiedział... bo ja sam tak chciałem.

— Aha, a no teraz to już rozumiem, — a czemuż odrazu nie gadasz, żeś uciekł z domu.

I porzuciła prędko zaczęłą robotę, a zbliżywszy się do chłopca, patrzyła mu prosto w oczy.

— Oho, znam ja się na tem, wiem kto

to tak robi, — pewnieś co dziadkowi przekrobał i bojąc się kary, uciekłeś.

A gdy Jędrus oczy spuścił, usłyszawszy te pełne prawdopodobieństwa słowa, dodała:

— Oho! nie patrzysz prosto w oczy, musisz ty być dobry ptaszek. Znam się na takich jak ty. Nie od dzisiaj patrzę na świat i dużom już rzeczy różnych widziała i słyszała. No, niema się tu co z tobą dłużej bawić. Kiedy masz iść, to idź lepiej prędzej.

I ukrajawszy spory kawał chleba, wtknęła go w rękę smutnego Jędrusia i biorąc zlekka za ramiona, popchnęła ku drzwiom.

— No, idź sobie, idź, a gdy pocałował ją w rękę, na którą spadły gorące łzy, zamknęła drzwi pośpiesznie i stanawszy w oknie, mruzczała.

— Dobrze, że się wygadał, że uciekł, widać jakieś ładaco, może złodziej. Dziadek, porządnego, dobrego wnuka, takby przecie nie puścił, musiał coś dobrego zmalować.

Agata jużby była pewnie dziś Marcina namówiła, żeby go zatrzymał i wyznaczył pensję.

Wsunęła głowę, więcej w okno, a gdy ujrzała Jędrusia, szybko oddalającego się, dodała jeszcze kręcąc głową!

— Dziwne bo też to jakieś chłopię, nie złe to widać zupełnie a przecie nie całkiem dobre! Wczoraj kobietę wyratował z biedy, a od rodzonego dziadka uciekł, dziś mi na podziękowanie za chleb, rękę łzami zrosił.

Taki, co płacze, to jeszcze nie całkiem zepsuty...

I zamysliła się, żałując pewno, że nie wybadła lepiej, dlaczego uciekł i co w mieście, taki obdarty robić będzie, a on tymczasem minął już wieś, wszedł na bity gościniec, i dziękował w duszy Bogu, że mu się ta podróż tak nieźle zaczęła, bo i miłą całą przejechał, wyspał się w ciepłej izbie i jeszcze chleba dostał na drogę!

Wypogodziło się jakoś, z za czarnych chmur, snujących się jeszcze, co chwila pokazywało się blade słońce. Jędrus wziął to sobie za dobrą wróżkę. Idąc myślał o dziadusiu, Jagusi, małej siostrzyczce, o swym grzechu i wdychał.

W południe usiadł przy drodze pod drzewem i wydobył otrzymany chleb. Opośdali robotnicy, tłuczący kamienie na szosie.

Byli pomiędzy dorosłymi i chłopcy mało co starsi od niego! Jeden przysiadł się do Jędrusia.

(d. c. n.)



Zadania i łamigłówki.

REBUS.



Rebus ten jest nieco trudny, dla ułatwienia więc niezbyt wprawnym w rozwiązywanie podobnych zadań objaśniamy, że środkowy rysunek górnego szeregu przedstawia scenę taką: „ce czy mi”; w drugim szeregu z prawej strony postać obok cylindra przedstawia *karla*, pod nim jest rysunek *ćmy* i napisana litera grecka *ni*, a jeszcze niżej u dołu wyobrażone są drzewa śliwkowe.

No, teraz rozwiązanie rebusa powinno pójść bardzo łatwo! Spodziewamy się też licznych rozwiązań.

SZARADA.

ul. Em. L.

Pierwsze z drugim włączone w odległe wspomnienia,
Było groźnym przyrządem do murów burzenia.
Czwarte z pierwszym gły miną swoim zwykłym biegiem,
Stają w przeszłości krótszym lub dłuższym szeregiem.
Trzecie jest to zaimek, albo wprost litera.
A wszystko nawzę tańca obcego zawiera.

Przeplatanka literowa.

ul. Kazio Maniecki.

1) kot 2) agrosz 3) cin 4) acjnsuz 5) ams 6) cin
7) artw 8) aægłsz.

Należy poprzestawiać odpowiednio litery, aby otrzymać przysłowie.

Rozwiązania do № 31-go.

Zagadki literackiej: Pierwszy urywek wzięty jest z «Powrotu z Warszawy na wieś» Franciszka Karpińskiego; drugi — z «Konrada Waleńroda» Adama Mickiewicza; trzeci — z «Maryi» Antoniego Malczewskiego.

Figla: Maj, bo nazwa jego z trzech liter się tylko składa.

Szarady: Lim—ba.

Najrozmaitsze domysły kotłowały mi pod czaszką. Jaki mógł być związek między temi dwoma listami?... Czego dowodzi tożsamość piśma?... Czy może być wskazówką dla agentów i doprowadzić ich do pożądanego celu?..

Schowałem list do kieszeni i udałem się pośpiesznie do zarządu policyj.

Pan Ward był w swoim gabinecie. Zapukałem gwałtowniej nieco, niż zwykle.

— Proszę.

Wszedłem. Pan Ward siedział przy biurku, mając przed sobą oryginał listu, którego facsimile*) podały dzienniki.

— Cóż nowego, panie Strock?

Podąłem mu list, opatrzony inicjałami. Pan Ward wziął go do ręki, przyjrzał się bacznie i zapytał:

— Skąd ten list?

— Z Morgantonu.

— Otrzymany kiedy?

— 13-go czerwca.

— Dlaczego przynosisz mi go pan tak późno?

— Dotąd sądziłem, że to jakiś żart... mistyfikacja... Dzisiaj zmieniłem zdanie...

Pan Ward zagłębił się w czytanie.

— Nie ulega wątpliwości, że oba listy piśała jedna i ta sama ręka.

— I ja tak sądzę

— Inicjały K. P. odpowiadają podpisowi: „*Król Przestrzeni*“.

— Tak. Lecz jaki związek zachodzić może między „*Grozą*“, a *Great-Eyry*?

— Nie wiem, i nawet nie mogę sobie wyobrazić... chyba...

— Co pan ma na myśli?

— ...Chyba, że wynalazca składa na *Great-Eyry* potrzebny mu materiał...

— To absolutnie niemożliwe! Jakim sposobem mógłby się tam dostać? Takie przypuszczenie nie wytrzymuje krytyki!

— A gdyby przypuścić, że „*Groza*“ ma skrzydła, które pozwalają jej wlatywać z orłami i sępami wydała mi się tak dziwaczną, że nie mogłem powstrzymać uśmiechu niedowierzania. Zresztą i pan Ward nie upierał się bynajmniej przy swoim przypuszczeniu. Wziął znowu oba listy i przyglądał się im bacznie przez lupę. Stanowczo pisane były tą samą ręką i nawet tym samym piórem.

— Zatrzymuję ten list — rzekł w końcu do mnie i powtarzam raz jeszcze: bądź każdej chwili gotów do odjazdu... Jestem przekonany, że odegra pan ważną rolę w tej dziwnej sprawie... a raczej w tych dwu sprawach... nie wątpię bowiem, że między niemi istnieje związek... chociaż pojąć nie mogę jaki...

Opuściłem zarząd policyjny pod tym wrażeniem, że lada moment otrzymam wezwanie do odjazdu. Lecz rozkaz nie nadchodził.

Harda i stanowcza odmowa, jaką rząd amerykański otrzymał od kapitana „*Grozy*“, spotęgowała zaciekawienie publiczności.

I w ministerjum i w Białym Domu*) panowało wzburzenie. Opinia publiczna domagała się zastosowania środków energicznych. Lecz w jaki sposób wziąć się do działania?... Gdzie znaleźć tego fantastycznego *Króla Przestrzeni*?... A gdyby się go nawet odszukało, czyż to możliwe zawładnąć jego osobą?... Posiada przecież na swe usługi maszynę cudowną?... Z chwilą, gdy tak dumnie odrzucił dolary, należało się uciec do siły... Odtąd więc uważany będzie jako złooczyńca, względem którego wszystkie środki uważane są za legalne. Bezpieczeństwo nie tylko Ameryki, lecz i całego świata wymaga, ażeby człowieka tego postawić w niemożności szkodenia innym.

„Wobec tego, że kapitan „*Grozy*“ odmawia stanowczo wyjawienia swej tajemnicy, nawet za cenę ofiarowanych mu milionów, a wynalazek jego zagraża bezpieczeństwu publicznemu, człowiek ów zostaje wyjętym z pod opieki prawa. Wszelkie środki, mające na celu zniszczenie jego wynalazku i uwięzienie osoby rząd uznaje za legalne.“

Była to więc wojna otwarta i zacięta, wypowiedziana temu, *Królowi Przestrzeni*, który ośmielił się wyzwać do walki cały naród, i to naród amerykański!

Wyznaczono znaczne nagrody za wykrycie kryjóWKi tajemniczego wynalazcy i za ujęcie jego osoby.

Zbliżał się koniec lipca. O „bohaterze dnia“ żadnych wjeści nie było. Dzienniki od czasu do czasu poruszały tę sprawę, lecz podawane wzmianki były bardzo lakoniczne i często zawierały sprzeczności.

Przynęta w formie wysokiej nagrody wprowadzała nieraz w błąd nawet ludzi wiarogodnych.

Pewnego razu ktoś widział samochód, pędzący jak trąba powietrzna... komuś innemu zdawało się, że na powierzchni jednego z jezior ukazał się dziwaczny przyrząd do pływania.. lecz wszystkie te zjawiska, oglądane przez pryzmat wysokiej nagrody nie miały podstaw rzeczywistych.

Wreszcie 29-go lipca otrzymałem rozkaz stawienia się do biura niezwłocznie.

We dwadzieścia minut później byłem już w gabinecie szefa.

— Za godzinę bądź pan gotów do odjazdu — rzekł do mnie pan Ward.

*) Dokładna kopia listu.

*) Rezydencja prezydenta Stanów Zjedn.

— Dokąd?

— Do Toledo... Tam pan otrzymasz wskazówki niezbędne.

— Za godzinę ja i moi agenci będziemy już w drodze.

— Dobrze... tym razem, mam nadzieję, że pan nie zawiedzie mego zaufania.

(*d. c. n.*)



Bezrobocie zwierząt.

Żarcik sceniczny w trzech odsłonach
przerobiony z ang. przez B. Buyno

OSOBY:

PAN BRZOZA — właściciel majątku.

PANI BRZEZINA — jego żona.

JAN — służący.

STANGRET.

KUCHARKA.

OWCZARZ.

DWAJ PASTUSZKOWIE.

NAUCZYCIEL szkółki ludowej.

UCZNIOWIE.

SEKRETARZ Towarzystwa Rolniczego.

CZŁONKOWIE Towarzystwa Roln.

CZŁONEK Tow. Opiekni nad Zwierzętami.

WOŹNY.

Pierwsza odsłona na wsi, w willi p. Brzozy, niedaleko miasta, dwie następne w mieście.

Odsłona pierwsza.

SCENA I.

(*Pokój jadalny. Stół nakryty do śniadania. Pan Brzoza dzwoni gwałtownie. Wchodzi Jan.*)

PAN BRZOZA. Śniadanie! Śniadanie podawaj! Muszę zaraz jechać na stację. Dziś zebranie Towarzystwa Rolniczego... Nie mogę się spóźnić... A poślij do stajni, żeby Józef zaprzął do powozu, może będzie deszcz.

JAN (*z wahaniem*). Proszę pana kucharka się kłopoce, bo...

PAN BRZOZA. I ja się kłopocę, żeby się nie spóźnić na kolej... Podawaj śniadanie! Prędejj!

JAN (*cofając się ku drzwiom*). Proszę pana, kucharka mówi, że jaj niema... ktoś pokradł kury, czy same uciekły... niema ani jednej. Pastuch przyszedł i mówi; że krowy się rozbiegły i niema mleka, a Józef powiada, że konie także uciekły... Niewiadomo gdzie... Może je pokradli?..

(*wychodzi.*)

SCENA II.

(*Wchodzi pani Brzezina, załamując ręce.*)

PANI BRZEZINA. O! mój Wacławie, co my zrobimy?! Mój Kastor przepadł, i stary Mors, wiesz, ten pies podwórzowy także. Daj ogłoszenie do Kuryera; trzeba posłać i do gminy niech ogłosi kto je przyprowadzi, dostanie dobrą nagrodę...

(*Wchodzi Jan przelekniony.*)

JAN. Józef jest w kredensie i prosi żeby pan z nim się rozmówił, jest i pastuch z chłopakiem i owczarz.. mówi że owce uciekły... Co to będzie! Co to będzie!

PAN BRZOZA (*wyniosłe*). Głupstwo, Janie... Nie nie będzie... Powiedz im niech tu przyjdą. (*Do pani Brzeziny*). Nie obawiaj się, moja droga, niema żadnego powodu do obaw...

PANI BRZEZINA (*wachlując się chustką*). Bądź spokojny... nie zemdleję...

SCENA III.

(*Stangret, pastuch, chłopak i owczarz.*)

WSZYSCY RAZEM. Poszły! Poszły! Uciekły! Przepadły! Niema ani jednego w oborze, w stajni w chlewach, w podwórz! Uciekły rankiem o świcie.

OWCZARZ (*występuje naprzód i mówi jak odurzony*).

— Wyszyły niby urzeczone,

Wprost na rosę, o świtanie...

Psy za nimi — jak spłoszone,

Nie myślały o zganianiu,

Nie posłuszne mym wołaniom

Prośbom, biciu i gwizdaniu!..

Postradałem psy—owieczki—

Wypieszczone jak dziecięczki,

I wylałem łez nie mało,

Patrząc na to co się działo (*placze*).

STANGRET (*wysuwa się błdy i strapiony*).

— Otworzyłem rano stajnię,

Wszedłem do nich jak zwyczajnie,

I spytałem, jak się spało

Żadne nawet nie zarżało!

Dałem owsa—dałem siana...

Ani tknęły! proszę pana...

Jakby im kto zadał czarów

Pozrywały się z kantarów,

I uciekły całem stadem!

Popędziłem za ich śladem

Lecz zwałem się do rowu...

Takie konie! swego chowul

Od źrebięcia wypieszczone,

Objeżdżone, wykarmione,

A tak brzydko się patrzyły

Jakby o coś się gniewały (*placze*).

Człowiekowi wstyd powiedzieć,

Że dziś musi w domu siedzieć,

I że niema już nadziei
By dojechał do kolei...

(państwo spoglądają na siebie w milczeniu).

PAN BRZOZA (zwraca się do pastuchów i mówi surowo). Teraz na was kolej! Ale mówcie prawdę, bo kto skłamie—straci służbę!

PASTUCH (kłania się do kolan i drapie w głowę).

— Prawdę powiem proszę pana:
Stała się rzecz niesłychana!
Bydło rankiem wzięło ryczeć,
Dziewki chciały na nie krzyczeć,
Lecz się krówki zbuntowały,
Dziewkom szkopki przewracały,
Wywaliły całą ścianę,
I pognały opętane,
Za owcami i stadniną!
Cud — jeżeli nie poginą!
Psy i owce — bydło, świnię —
Konie, ptactwo — na równinie
Sam widziałem! Koniec świata!
Taki los — na stare lata...

(ociera rękawem oczy).

CHŁOPAK (drapie się w głowę i jęka nieśmiało).

— Gospodyni... jaśnie panie...
Żadnej świnki nie zastanie...
Uszły wszystkie truchtem w pole...
Nie stanęły przy stodole...
Choć nie jadły nic od rana!
Tak śpieszyły... proszę pana..

PAN BRZOZA (krywając głowę do żony).
Gdyby nie to, że jeszcze wczesny ranek myślałbym, że monopol był w robocie i że im w głowach pomógł..

PANI BRZEZINA. I jabym to samo myślała... A może oni umyślnie pozostawiali drzwi otwarte? Kto wie?

STANGRET, OWCZARZ i PASTUCH (oburzeni wołają razem).

— Niesłuszne oskarżenie!
To wszystko jakieś czary!
Prosimy o zwolnienie,
Jeśli nie mamy wiary!..
(wpada kucharka zaperzona).

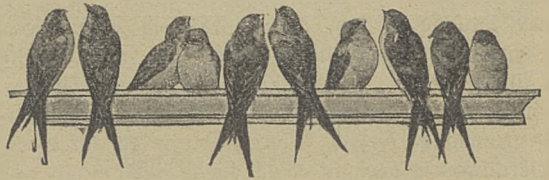
(d. c. n.)



Różne wiadomości.

Pierwszą wzmiankę o Warszawie napotyka my w połowie XIII-go wieku, Konrad I, książę mazowiecki, zbudował sobie zamek w Jazdowie (dzisiejszym Ujazdowie), a drugi w sąsiedniej wsi Warszawie. W r. 1262 Rusini i Litwini napadli na Jazdów, zabili księcia Ziemowita, wzięli w niewolę syna jego, Konrada, Warszawę zaś spalili. W r. 1313 było to już miasto, gdyż przy podziale Mazowsza między synów Bolesława, księcia płockiego, średni, Trojden, otrzymał oprócz innych grodów, Warszawę.

Najstarszy zielnik na świecie znajduje się w muzeum w Kairze; ułożono go z roślin i kwiatów, wydobytych z grobowców egipskich, mających zatem 3000 lat istnienia. Barwy ich i kształty doskonale się przechowały. Można łatwo odróżnić białe i błękitne lotosy, szkarłatne maki, malwy, jastruny, kwiaty granatu i inne. Stanowią one dowód, że w tych odległych czasach strojono ciała zmarłych kwiatami. Znajdowano także w grobach główki cebuli, czosnek i liście selerów.



Skrzynka do listów.

Jakże żałuję, pisklęta kochane, że nie mogę zgromadzić was wszystkich dokoła siebie i poprowadzić na pola, między złote snopy pszenicy, którą tną żniwiarki-maszyny, a żniwiarki, hoże wesołe dziewczęta, wiążą kłosa w snopy i zarzucają na wozy. Lud tutejszy do rodny jest i miły, szkoda tylko, że kobiety zarzuciły białe płócienne stroje, które znałam tu przed laty. Wyglądały w nich jak dawne słowiańskie niewiasty, niewiastkami też dotąd lud zowie synowe w chacie, wiele równie starych i pięknych wyrazów spotkać tu można w miejscowej mowie. Jest ona czysta i śpiewna, chętnie też pracujący śpiewają na niwie, a głos po rosie biegnie poprzez zielone łąki, które choć niedawno skoszone pokrywają się na nowo barwnym kobiercem, taka tu roślinność bujna.

«A nasz paneńku wyjdź do nas, wyjdź do nas.

«Niesiemy wianek kup od nas, kup od nas

«A nasz wianeczek nie drogi,!

«U pana talar nie srogi...»

— śpiewały dziewczęta przynosząc przed dwór wieniec z kłosów uwity, a ozdobiony kwiatami polnymi.⁵

Cieszymy się wszyscy, bo po zupełnem ukończeniu żniw będzie pewno zabawa dożynkowa i wasza Jaskółka obiecuje sobie wielką stąd radość. A i teraz cieszy się ona pięknymi planami. Kiedy dużo zboża to chleb bywa tańszy, więc głodnych mniej zastanie w Warszawie — myśli Jaskółka. Wcale jej nie pilno wracać do miasta, skąd tyle złych nadchodzi wiadomości, aż gazety czytać odbiega ochota.

Stokroć przyjemniej, niż czytać gazety, słuchać cudnej orkiestry na łące, gdzie koniki polne stroją swoje skrzypki. a żabki odpowiadają im basem, pan bocian krąży tymczasem nad łąką jak gdyby przypominając żabkom, że nie zawsze swawolić i śpiewać można.

Śpiewają i w tej chwili żniwiarze:

«Widział ci ja widział jakieś żytko żeła
«Jam staję wyorał, a tyś się nie zgięła...»

— przymawia parobek dziewczynie, wszystko tu dokoła tchnie spokojem i radością, jak gdyby nle było srogiego bociana — wojny, który na długo zagasić może radość biednych ludzi. Skąd o wojnie przyszło ci pisać Jaskółko? — zapytacie. Przypomniał mi ją list Niedźwiedza.

Biedny Niedźwiedziu chciałyby ci na dalekie pola Mandżurji posłać serdeczne, pełne współczucia wyrazy, chciałyby szanownym twoim rodzicom wypowiedzieć jak bardzo dzielę ich niepokój o ciebie, wszyscy spodziewamy się tu z dnia na dzień pokoju, wrócą więc do domów biedni żołnierze, wrócisz i ty zdrow, żeby opowiedzieć nam w długim liście o wszystkim co przeżyłeś wśród dalekich krain, o wszystkim czego się tam nauczyłeś. Bo Japończycy nieraz nam dali dobrą lekcją miłości bliźniego, wytrwałości, i dzielności, która sprawiła, że w niespełna 30 lat zdobyli dla swego kraju taką cywilizację o jaką my starać się powinniśmy.

Czytelniczce «Wieczorów» podpisanej J...na donoszę, że utwór jej przeczytałem za powrotem do Warszawy, pragnę bardzo, aby okazał się wartościowym, i przyniósł ci zasłużone uznanie. Cóż miłszem może być dla Jaskółki jak pozyskać w gronie swych czytelników zdolną autorkę lub poetkę? Sława stąd płynie na całą gromadkę «Dzieci Wieczorów» więc też z wielką niecierpliwością czekam chwili kiedy będę mogła odczytać pracę nieznaną, a jednak bliskiej mi przez nasze kochane piśmko literatki.

Dziękuję kochany Słowiku, że choć troszkę obrażony piszesz jednak do Jaskółki. Łatwo nam się przyjdzie porozumieć bo przecież przysłowie mówi, «że ptak ptakowi oka nie wykole.» Wyciągnij więc łapkę na zgodę, ja ci moją podam i zawrzyjmy przyjaźń. Szkoda, że nie opisałaś mi pobytu w Busku. Znałam tę miejscowość przed laty, ale od tego czasu mogła się bardzo odmienić. Wody mineralne to wielkie bogactwo wspólne, gdybyśmy tylko wyzyskać je umieli i mogli jak inne narody to czynią. Do Karlsbadu, do Trzczyzna nawet zjeżdżają się chorzy z całego świata, nasz Busk i Solec niemniej bogate ma lecznicze pierwiastki. ale ktoś zechce przyjechać tam gdzie wlec się trzeba na jętą furmanką, bo niema kolei, gdzie brak wygod, oświetlenia, kanalizacyi? Jesteśmy w każdym względzie biedakami, a jednak pracą i wytrwałością zdobyć można

wiele, byle pracować i wytrwać. Cóż ty mi na to odśpiewasz, miły Słowiku?

Wielką radość sprawiła mi Czarnobrewa Ukrainka swoją fotografią, z której patrzę dobre i rozumne oczy pisklęcia, co zawsze pociechę swą pilnością w nauce sprawiło rodzicom i mnie, staremu ptakowi. Tylko czemu nie wśród swoich, nie bliżej nas, kształcisz się? Rozłączenie z domem i rodziną mniej byłoby ci przykre. czułabyś dokoła też same co w własnym sercu pragnienia, twoje koleżanki czytałyby razem z tobą o Kordeckim i Częstochowie. Jakaż to piękna książka, prawła, jaka droga polskim sercom?

Nową korespondentkę wprowadzam dziś do naszego grona i dobrze o niej wróżę. Jastrzębianka dostała nagrodę na pensyi, a wiecie co zabrała z sobą wyjeżdżając z miasta? Oto kilkanaście elementarzy. Czyż to nie dobra myśl? i jak nie poczuć od razu sympatyj dla nowej znajomej, która taki pakunek wiezie w tłumoku. Musisz mieć w sercu miłość ziemi rodzinnej kochana Jastrzębianko skoro rozumiesz jak wstydić się mieszkańcom tej ziemi należy za to, że żyje na niej tysiące ciemnych braci, którzy nie umieją czytać ani pisać. Ślepotą jest najstraszniejszym kalectwem, bądźmy wszyscy okulistami, to jest otwierajmy oczy bliźnich na skarby nauki, niech za naszą pomocą zdobyją możność kształcenia serca przez piękne przykłady wycytane w książkach, możność napisania listu do syna lub brata na wojnie. Że rozumiesz doniosłość tych pociech kocham cię Jastrzębianko i proszę pisuj często.

Na ostatek zostawiłam list Stokrotki z Podola. Zna nasze grono dobrze gromadkę z Ziatkowiec, znają ją biedne dzieci, którym nieraz Stokrotka chleba i węgla dostarczała w potrzebie. To też ucieszyłam się bardzo kiedy ze skrzynki wypadł list twój i nie myślałam wcale zbyć go wzmiąnką, jak piszesz. Czemu nie donosisz mi nic szczegółów o sobie i rodzeństwie, czy wesoło spędzacie wakacje? Co porabia Różyeczka od której dawno już spodziewam się listu. Podolak także bardzo zaniedbał skrzynkę, pewnie konna jazda z siostrą odbiera mu chęć do listów. Ale gdy ta chęć jest szczerą to czas znajdzie się na wszystko, więc pędząc jak Farys przez jary i urwiska nie ponieś szwanku dzielny Podolaku ani dobra Stokrotko, a przez wdzięczność za przestrożę napiszcie oboje do waszej

Jaskółki.

ZAKŁAD NAUKOWY Bronisławy Sękowskiej,

Nowy-Swiat № 54, m. 15.

przyjmuje także uczniów i uczennice nieumiejących ani czytać ani pisać. Metryka jest wymagana. Zapis uczących się codzieln od godz. 1—4. Lekcje rozpoczynają się 1 września.

Prenumerata wynosi:

W WARSZAWIE: rocznie z odnośnieniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do ceny półroczna i kwartalna — miesięcznie w Warszawie kop. 35.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚC: J. E. ks. Jerzy Szembek (z portretem).— Przygody Imię Pana Mikołaja, przez Z. Morawską.— Gospodarstwo mrówek.— Zdania i myśli.— Cisza wieczorna (rycina). — Z cyklu: Drzewa. „Brzoza“ (wiersz) przez Leona Rygięra.— Król przestrzeni (z ryc.) przez J. Verne'a. — Bezrobocie zwierząt przez B. Buyno.—Różne wiadomości. — Skrzynka do listów. — **Dodatek:** Wiosna życia (wiersz—z ryc.) przez W. B. — Porwany przez wilki, przez S. Krauzę. — Dzielny Jędrus, przez J. Piasecką. — Zadania i łamigłówki.

Redaktorka Ludwika Hauke. Wydawczyni Marya z Chomentowskich Balińska.